№ 28.

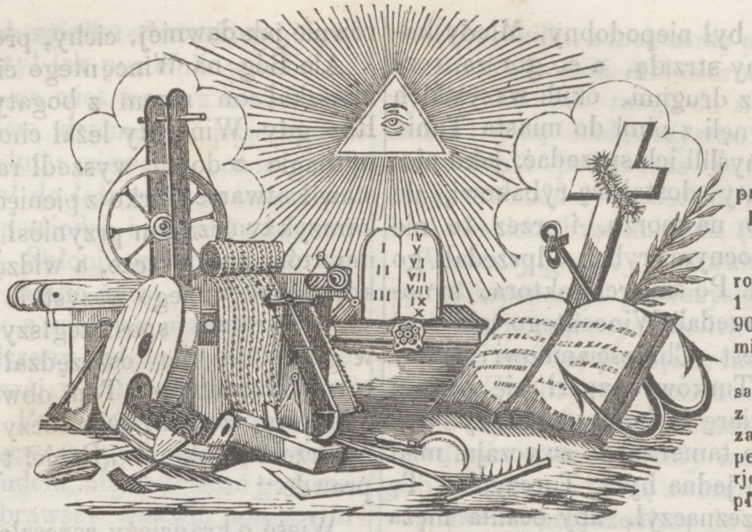
Warszawa

Dnia 1 (13) Lipca

1856.

Niedziela

9ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! którego Opatrzność w swojém rozrządzeniu omylić się nie może, pokornie Cię prosimy, abyś wszystko, co jest szkodliwe, od nas oddalił, a cokolwiek jest pożyteczne, tego nam pozwolił. (Modlitwa kościelna na niedzielę 9 po Swiątkach).

Życie świętego Wincentego a Paulo.

Wincenty a Paulo był synem ubogiéj lecz pobożnéj rodziny, Rodzice jego mieli sześcioro dziatek, a wszystkie chowali w wielkiéj bojaźni Bożéj. Okolica, w któréj się urodził, położoną była między Pirenejskiemi górami, niedaleko Hiszpanii. Wincenty dopóki był mały, pasał ojcowskie trzody po górach, ale gdy wyrosł, ojciec widząc w nim wielkie zdolności, i chęć do nauki niezwyczajną, postanowił sposobić go do stanu duchownego, aby mógł być w przyszłości podporą licznéj rodziny.

Odwiózł go więc ojciec do klasztoru ojców Bernardynów, do pobliskiego miasta na naukę. Młody Wincenty uczył się dobrze, i zjednał sobie powszechne poważanie. Jeden obywatel miejski, na polecenie Gwardjana, wziął go do dzieci, gdy miał lat szesnaście; mógł zatem pobierać dalsze nauki, nie narażając ojca na koszta. Tak upłynęło lat dziewięć, w ciągu których przyjął Wincenty pierwsze święcenia kapłańskie. Ojciec zasłyszawszy o wielkich postępach syna, pragnął, aby daléj jeszcze prowadził rozpoczęte nauki, wyprzągł z ochotą dwa woły od pługa, sprzedał je, a zebrane pieniądze posłał Wincentemu na podróż do miasta Tuluzy, gdzie była wyższa Akademia Duchowna, w któréj kształcili się młodzi kapłani. Wincenty uczył się przez lat siedm w owéj Akademii, a przez ten czas, przywiedziony był czasami do takiéj nędzy, że musiał żyć o chlebie i wodzie. Umarł nakoniec stary ojciec, polecając synom, aby czuwali nad potrzebami brata — ale Wincenty znając ich ubóstwo, nie chciał z tego korzystać. Został nareszcie kapłanem, uczył w szkole drobne dzieci, i tym sposobem zarabiał sobie na skromne utrzymanie.

Ludzie jednak oceniali pracę i usiłowania młodego Wincentego. Jeden z jego znajomych umierając, zapisał mu małą sumkę, po którą on zmuszony był popłynąć morzem do miasta Marsylii. Podróż morska, zaczęła się szczęśliwie, bliską już nawet była kresu, gdy trzy statki korsarzy, czyli rozbójników morskich, napadły na okręt, którym płynął Wincenty.

Ratunek zupełnie był niepodobny. Młody kapłan, został raniony strzałą, a co gorsza, rozbójnicy zabrali go z drugimi, okuli wszystkich w kajdany, i popłynęli z nimi do miasta Tunis w Afryce, gdzie umyślili ich sprzedać, jako niewolników. Wincenty dostał się rybakowi, ale że chorował często na morzu, i przez to nie mógł mu być pomocnym, rybak odprzedał go staremu doktorowi. Po śmierci doktora, synowcy zmarłego odprzedali Wincentego jakiemuś renegatowi, to jest Chrześcianinowi, który przystawszy do Turków, zaparł się swojéj wiary, a przyjął wiarę Mahometa. Nowy pan Wincentego, wedle tamecznego zwyczaju, miał trzy żony: z tych jedna była Turczynka. Tę niewiastę Bóg przeznaczył, aby ocaliła męża od zguby, a Wincentego ze srogiéj wybawiła niewoli.

Przychodziła ona często w pole, gdzie Wincenty pracował w pocie czoła, i przysłuchiwała się pobożnym jego pieśniom. Raz, gdy na jéj prośby zaśpiewał pieśń *Salve Regina*! i psalm z niewoli Babylońskiéj, Turczynka słuchała go poruszona do głębi serca, a potem prosiła, aby jéj opowiedział główne zasady wiary Chrześciańskiéj, co Wincenty z radością uczynił.

Tegoż dnia wieczorem, Turczynka rzekła do męża, że dziwi się bardzo, iż mógł opuścić swoję wiarę, nie wyobraża sobie bowiem, aby w raju Mahometa, mogła mieć tyle uciechy, ile przy słuchaniu cudnych Chrześciańskich pieśni. Bóg widocznie natchnął tę kobietę; tyle ona prośbami swemi sprawiła u męża, iż renegat skruszony w duchu, przyrzekł przy zdarzonéj sposobności, udać się do Francji, i dawną ojców przyjąć napowrót wiarę. Niedługo też potem, razem z Wincentym puścił się łódką na morze, a wylądowawszy na brzegach Europy, udał się do Rzymu, odwołał błędy swoje, i tam w klasztorze ostro do śmierci pokutował za grzechy.

Wincenty czas jakiś pozostał także w Rzymie, ztamtąd zaś udał się do Francji. Ledwie przybył do Paryża, wnet odgłos wielkich cnót jego i nauki, doszedł do Królowej Małgorzaty, żony panującego podówczas we Francji Henryka IV. Królowa mianowała go jałmużnikiem swoim, i przez jego ręce, mnogie dla ubóstwa czyniła ofiary. Tak niespodziewany zaszczyt nie podniósł jednak w pychę Wincentego, pozostał on równie jak dawniéj, cichy, prosty i miłosierny.

Ale Bóg na Wincentego ciężką zesłał próbę. Mieszkał on razem z bogatym jednym sędzią. Raz gdy Wincenty leżał chory, sędzia wezwany nagle z domu, wyszedł rano o świcie, i zostawił otwarte biurko z pieniędzmi. Młody aptekarczyk tymczasem przyniósł lekarstwo choremu, który spał jeszcze, a widząc otworzone biurko, zabrał z niego wszystkie pieniądze. Sędzia za powrotem spostrzegłszy szkodę, wpadł w gniew, i nie oszczędzał obelg i wyrzutów Wincentemu. Ten obwiniony o czyn tak haniebny, zwrócił tylko oczy i serce ku niebu, i wyrzekł z pokorą: „Panie! ty sam jeden wiész prawdę.“

Wieść o kradzieży rozeszła się po całym Paryżu. Sędzia wydalił Wincentego z mieszkania. On jednak ufał Bogu, przekonany, że prędzéj czy późniéj, czas wyświetlić musi prawdę. Jakoż nastąpiło to w sześć lat potem. Tenże sam aptekarczyk, złapany na uczynku kradzieży, i wtrącony do więzienia, w chwili skruchy, wyznał dawne przestępstwo wobec sędziego, którego niegdyś okradł. Sędzia napisał do Wincentego list, błagając go o przebaczenie. I Wincenty z całego serca przepomniał wszelkiéj urazy.

Wypadek ten obudził w nim chęć do życia samotnego. Usunął się od świata, a otrzymawszy małe wiejskie probostwo, udał się na wieś, zrzekłszy się tytułu i godności jałmużnika królowéj. Osiadł więc na probostwie, i tam cicho a po Bogu pracował w winnicy Pańskiéj. Odbudował naprzód kościołek, zburzony w czasie domowych wojen, i z wielką gorliwością spełniał obowiązki wiejskiego plebana.

Niedługo jednak Wincenty musiał opuścić parafian swoich, uczynił to z wielkim żalem, i udał się na dwór wielkiego pana Francuzkiego, hrabiego Gondi, który wezwał go do wychowania synów.

Dom hrabiego Gondi, pobożny był i zacny. Hrabina sama, choć z książęcego pochodziła rodu, czuła w duszy, że wielkość ziemska czczym jest dymem, który lada wiatr rozwieje. To też oddając dzieci pod dozór Wincentemu, wyrzekła piękne słowa: „Pragnę stokroć bardziéj widzieć ich świętymi w niebie, aniżeli wielkimi na ziemi.“

Wincenty wśród zgiełku dworskiego życia w domu hrabiego, żył jak pustelnik w celi.

Gdy wyjeżdżał na wieś wraz z hrabstwem, uczył z upodobaniem drobne wiejskie dziatki katechizmu; a dla ludu miewał pobożne nauki. Raz wezwany został do łoża chorego wieśniaka, aby go wysłuchał spowiedzi, i udzielił mu ostatnich Sakramentów. Skłoniwszy chorego do wyznania grzechów z całego życia, przekonał się, że ma do czynienia z wielkim przestępcą; lecz niemniéj przeświadczony był, że te ciężkie grzechy pochodziły raczéj z ciemnoty, niżeli z wrodzonych popędów. Przy łożu tego chorego powziął Wincenty pierwszą myśl do odprawiania missyj, pomiędzy ludem, aby oświecać go w rzeczach wiary. Przybrawszy więc do pomocy innego Kapłana, chodził od wsi do wsi w obszernych włościach hrabiego, miewał publiczne kazania, uczył katechizmu, namawiał do powszechnéj spowiedzi, słowem, o ile można było, starał się jak najwięcéj dusz pozyskiwać Bogu na chwałę. Pierwsza taka missya, odbyła się roku 1617.

Hrabina Gondi, widząc jak zbawienny wpływ wywierają owe missye na mieszkańcach jéj włości, ustanowiła fundusz na odprawianie ich co pięć lat, po wszystkich dobrach hrabiego. To podało myśl Wincentemu a Paulo do ustanowienia stałéj kongregacyi księży Missyonarzy. Te misye wielce się przyczyniły do podźwignienia na duchu Francuzów, i serca ich na nowo zapaliły ku Bogu. Dopóki Wincentemu starczyło sił i zdrowia, należał chętnie do tych pobożnych missyj.

Ale kochał on wszystkich ludzi nie samych tylko Francuzów, do których należał rodem; nie dosyć więc było mu na tem, że Francya korzysta z missyj, i ulepsza się widocznie; chciał on, żeby i inne narody korzystać mogły z tego dobrodziejstwa. Missyonarze rozchodzić się więc poczęli na różne strony świata, między innemi przybyli także i do Polski. Panowała wtedy u nas królowa Marya Ludwika, wraz z małżonkiem swoim Janem Kazimierzem.— Marya Ludwika była Francuzka rodem, ze znakomitego domu książąt Gonzagów, znała ona w młodości Wincentego a Paulo, i wielce od niego cenioną była, dla cnót i pobożności.— Na jéj to prośby Wincenty przysłał do Polski Missyonarzy, w chwili gdy straszne klęski, głód, mór i wojna że Szwedami, spadły na biedne królestwo. Pobożni Missyonarze, przybyli tu jakby Aniołowie pociechy, kilku z nich zaraz po przybyciu, zmarło na zarazę, inni miłosiernemi czynami, przyczyniali się jak mogli do zmniejszenia ogólnéj niedoli, jaką nadewszystko wojna szwedzka, sprowadzała podówczas na Polskę. Król Jan Kazimierz oddał im kościół Święto-Krzyzki na Krakowskiem Przedmieściu (1).

Wincenty gorliwy o chwałę Bożą, rozesławszy Missyonarzy po wszystkich krajach europejskich, począł wysyłać ich daléj jeszcze w inne części świata, pomiędzy niewiernych Turków i pogan. Zwyczaj ten przechował się dotąd; wiara Chrześciańska się rozkrzewia, i przyjdzie czas niewątpliwie, że świat cały według słów Ewangelii, stanie się jedną owczarnią Chrystusową.

Wincenty przyszedłszy do wielkiego znaczenia na dworze królów Francuzkich, używał swego wpływu na korzyść ludzi braci, których prawdziwie chrześciańskiem miłował sercem.

Król mianował Wincentego głównym kapelanem więźniów na galerach;— przyjąwszy ten urząd, zajął się losem nieszczęśliwych więźniów, a dla chorych założył szpital, i we wszelkie zaopatrzył go potrzeby. Oprócz tego zaprowadził tak w Paryżu, jak i w całéj Francyi wiele bractw miłosiernych, które obowiązane były odwiedzać chorych i dawać jałmużnę ubogim. Pod jego przewodnictwem zawiązywały się różne pobożne stowarzyszenia. Staraniem Wincentego stanęło w Paryżu kilka wielkich szpitalów, a między innemi Dom dla podrzuconych dziatek. Aby zapewnić stałą opiekę dziateczkom i chorym po szpitalach, postanowił wreszcie założyć zgromadzenie siostr miłosierdzia. Zgromadzenie to rozkrzewiło się po wszystkich krajach Chrześciańskich.— Dotąd więc biedni chorzy z całego świata, winni są świętemu Wincentemu wdzięczność, za troskliwe starania, jakich doznają w cierpieniu.

Zdaje się prawie niepodobna, aby jeden człowiek mógł dokonać tak wiele. Ale miłość tworzy cuda, bo prowadzi do poświęcenia, a święty Wincenty miał w sercu prawdziwą miłość Boga i bliźniego.

Dlatego wiele on przebolał w ciągu długiego żywota, bo musiał patrzeć na okropne klęs-

(1). Był to wtedy mały i ubogi kościołek. W sto dwadzieścia lat potem dopiero, Jakób Sobieski syn Króla Jana, począł budować dla XX Missyonarzy wspaniały kościół, który po dziś dzień widzimy.

ki, które podówczas groziły światu. Wojna niszczyła wszystkie kraje; w ślad za wojną szedł głód i zaraza.

„Módlcie się bracia moi—mawiał on do Missyonarzy, proście Boga, aby zesłał pokój chrześcijańskiemu światu. Wojna wre wokoło. Chłopek sieje, ale nie wie, czyli mu przyjdzie zbierać! A jednak owi prostaczkowie, przechowali w sercu taką żywą wiarę! z taką pokorą poddają się Boskiéj woli, i wszystko znoszą cokolwiek Pan na nich dopuści! Wystawieni na skwar słońca, na deszcz i słotę, żywią się potem swego czoła— a nas karmią pracą poczciwéj ręki! To téż ilekroć niosę do ust kęs chleba— myślę sobie w duchu: Czyliżeś zasłużył na to, co spożywasz; ten chleb, to praca ubogiego.— O bracia! wyciągnijmy za nich ręce ku niebu, i służmy im ile siły.“

To téż święty Wincenty jak mawiał, tak czynił ubogim do ostatniego tchnienia, i pamiętne są owe słowa, które się stały godłem pisma naszego, a które wyrzekł ten mąż świętobliwy, iż raczéj zabraknie biednych aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziemy obowiązki nasze.

Miał lat ośmdziesiąt, gdy spoczął w Panu po tyloletnich trudach. Na rok przed śmiercią czując już słabnące siły – usunął się od świata, i gotował zwolna do śmierci.

Aż niedługo zasnął w Bogu. Na jego grobie współziomkowie doświadczali wiele cudów. Ztąd więc uczyniono przedstawienie do stolicy Apostolskiéj, i Benedykt XIII w roku 1627, podpisał wyrok beatyfikayi, czyli uznania Wincentego Swiętym.

Francja jako Ojczyzna Sgo Wincentego a Paulo, posiada Jego relikwie, ale dzieła Jego rozeszły się po całym chrześciańskim świecie, powstało z nich wiele dobroczynnych instytucyj, a między niemi, i u nas w Warszawie istnieje Przytułek pod wezwaniem tego Swiętego, w którym sieroty i dzieci ubogich rzemieśników, wyrobników, i sług znajdują schronienie i wychowanie.

Uroczystość S. Wincentego przypada w przyszłą Sobotę.

Gawędy starego Macieja.

—

Pan Bóg żebrakiem.

Poczciwy nasz Maciej
Dla gościa w swéj chacie
Pełen uprzejméj szczerości;
Lecz kiedy ubogi
Dziad wejdzie doń w progi,
To już najmilszy gość z gości!
Za stołem posadzi,
I w torbę nakładzie
Chleba, a w serce pociechy:
I ściska nędzarza,
I dzięki powtarza,
Że jego nie minął strzechy.
Bo, prawi chłopakom:
Co dacie żebrakom,
To Bogu samemu dacie;
A wzgardzisz ubogim,
To jakbyś przed Bogiem
Zatrzasnął drzwi w swojéj chacie.
I sam też Bóg z Nieba
Za taki kęs chleba,
Za kubek wody, za słowo,
Nagrodę wymierzy;
Lecz sam też uderzy
Nieludzkich karą surową.
Tak stoi w zakonie,
Tak wyrył Bóg w łonie
Nawet i ciemnéj prostoty,
Co w dziwne powieści
Skarb Swiętych prawd mieści,
Cudowne ziarneczko cnoty.
Oj! ciężko na świecie
I gorzko, a przecie
Bywały szczęśliwsze czasy:
Nie w takie to plony,
Bóg zdobił zagony,
Szumiały niwy jak lasy.
Dziś słoma nam sporzy,
A święty dar Boży,
Kłos, ledwie w ziarnek dziesiątek; (1)
A wtedy do ziemi
Kłosami bujnemi,
Calutki stroił się prątek.
Lecz bieda ma nogi,
Chleb zasie ma rogi:

(1) Opowiadane podanie ludowe jest z Ukrainy i Podola, gdzie bywają ogromne urodzaje, i dziesiąte ziarno jest już nienajlepszym zbiorem.

Człek zhardział, zgnuśniał jak zwierzę,
I smaczne kołace
Zjadając bez prace,
Zapomniał, zkąd dary bierze.
Sam mając do syta,
O drugich nie pyta,
Choćby zginęli o głodzie.
Zapomniał niecnota,
Że nieraz pod wrota
Żebrakiem sam Bóg przychodzi!
A wtedy po ziemi
Bóg często z świętemi,
W dziadowskiéj, lichéj sukmanie,
Z modlitwą wędrował,
I ludzi probował,
Co za nią u nich dostanie?
Zła próba! żal pracy!
Niebiescy żebracy
Ilekroć wracali do Nieba,
To w sakwie podróżnéj
Ni grosza jałmużny,
Ni kęsa nie mieli chleba!
Daremnie ze łzami
Swiętemi słowami,
Kołaczą w ludzką pierś twardą;
Gdzie stąpią, to tłuszcza
Psy na nich wypuszcza,
Kijmi ich pędzi ze wzgardą.
A wszędy w ohydzie,
W rozpusty bezwstydzie,
W złości, w zawiści człek brodzi;
Co święte, zdeptane,
Co zacne, wyśmiane,
Ni czci, ni wiary w narodzie!
I wyszedł Bóg z sioła,
I spojrzał dokoła
Po ludnéj, żyznéj krainie,
Co z Jego szczodroty
Okwita w plon złoty,
I mlekiem, i miodem płynie.
I wspomniał na człeka,
I Boża powieka,
Łez żalu wstrzymać nie zdoła;
Bo Ojcu żal dzieci.
Lecz zbrodnia gniew nieci,
Do Niebios o pomstę woła!
I... wyrok wydany:
Bóg wyszedł na łany,
Kłos cudny ręką ogarnie,
I w górę od ziemi
Palcami Bożemi
Mknie, krusząc ziarno po ziarnie.
I w jednéjże chwili
Już wszędy z badyli,
Jak ścięte sypią się kłosy!
A w strasznym tym cudzie,
Bydlęta i ludzie
Uderzą jękiem w niebiosy.
I zadrży Piotr Swięty,
I żalem przejęty,
Wierzch kłosu nagle w garść chwyci.
„O Boże! o Panie!
Niech choć to zostanie,
Biedne stworzenia niech syci!“
I Bóg się użalił,
I jeden ocalił
Kłos drobny na wierzchu pręta;
I odtąd my biedni
Chleb mamy powszedni,
I mają żywność zwierzęta.
Karmiąc je z swéj dłoni,
I nam Bóg nie broni
Łask dawnych zbierać poślady;
Lecz zawsze po ziemi,
Z swoimi Swiętemi,
Żebrząc, sam chodzi na wzwiady.
O! bądźmyż gotowi!
Czuwajmy, bo kto wie
Kiedy k'nam Pan Bóg zawita?
Złem sercem spotkany,
Znów wyjdzie na łany,
Zerwie ostatni kłos z żyta!“

Niedziele u Babuni.

—

W jednéj wiosce pod Warszawą, żyje dotąd zacna staruszka, pani Salomea Kłobukowska; ile dziś liczy lat życia, tego wam z pewnością, moi czytelnicy, powiedzieć nie mogę, bo jak ją od 20 lat zapamiętam, nic się nie zmieniła.— Wówczas już była tak, jak i dziś staruszką,— wszakże zawsze czynna, biega jeszcze dość żwawo, jest wszędzie, zajrzy w każdy kącik, gdzie tylko dozór jéj i oko mogą być potrzebne, a wszędzie daje nauki, rady, przestrogi, zawsze w sposób łagodny i dobrotliwy.—To téż pani Salomea, od całéj służby bardzo jest szanowaną i kochaną.— Znając rozmaite sekrety lekarskie i własność ziół różnych, jest opatrznością wioski: niema chorego we wsi, któregoby

nie nawiedziła, któremuby skutecznéj rady i pomocy nie przyniosła, już to udzielając z swéj apteczki lekarstwa, już też posilnego z kuchni jedzenia, odpowiedniego przepisom dyety.

I ktoż jest ta zacna i dobroczynna pani Salomea?— zapytacie mnie pewnie czytelnicy moi. I tu, położenia jéj towarzyskiego, tak jak i jéj wieku, dokładnie określić wam nie zdołam. — Pani Salomea, jest niby sługą, i nie jest nią; — jest z jednéj strony gospodynią, szafarką, klucznicą,— czem chcecie,— a z drugiéj zaś najzaufańszą przyjaciółką domu; — jest ona rzadkim dzisiaj niezmiernie, a ktoż wie, jedynym może exemplarzem dawnéj sługi, co się sercem zrosła z domem swych państwa, przelewając przywiązanie swoje z jednego pokolenia na drugie.

Pomimo późnego swego wieku, cały dzień jest zajętą, chociaż nietylko, że nikt tego po niéj nie wymaga, ale nieraz nawet bywa o to strofowaną, na co zacna staruszka odpowiada, że nie może żyć bez zajęcia, jak ryba bez wody. Zaledwie, iż sobie pozwoli pół godzinnéj drzymki po obiedzie, po czem jest znowu na nogach, dopóki pod jéj okiem służebne nie pokończą właściwych im zatrudnień,—wówczas sama wszystko pozamykawszy, wraca do swego pokoju na wieczorne pacierze, po odmówieniu których lubi staruszka pogawędzić o wypadkach swego życia, i opowiadać o gościnności i dostatkach dawnych domów pańskich, o zwyczajach i ubiorach państw, dworskich i ich służby, o dworze króla Poniatowskiego w Warszawie, o słynnéj z piękności pani Krajczynéj koronnéj i t. p.

Tą drogą dowiedziałem się, że pani Salomea, jeszcze u babki méj ciotki, a dzisiejszéj swéj pani, rozpoczęła służbę.— Córka miejscowego włościanina, w 10 roku życia, znalazła się sierotą, bez opieki i bez chleba,— i byłaby się może zmarnowała niebboga, gdyby jéj nie była przygarnęła ówczasowa dziedziczka, pani starościna Czerska. — Wziąwszy ona do siebie małą Salusię, i widząc w niéj naturalny dowcip i pojętność, przez pamięć oraz na poczciwość rodziców, umieściła ją w garderobie, i kazała uczyć czytać i pisać, niemniéj rozmaitych kobiecych robót. — Następnie Salusia z wiekiem przechodziła rozmaite szczeble służebnego zawodu, poczynając od piastunki do dzieci; — poczem była pokojową, —daléj gorderobianą najstarszéj panienki, i z tą po jéj zamąźpójściu za kasztelana Zarzeckiego, przeniosła się w tymże samym charakterze do Warszawy, w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, i do téj też najgłówniéj epoki, odnoszą się jéj wspomnienia, gdyż pani kasztelanowa bywając często w domu, opowiadała niejednokrotnie swéj faworytce rozmaite wypadki, w owych czasach zdarzone.

W roku 1795, państwo Zarzeccy, po rocznym pobycie za granicą, gdzie im i nasza Salusia towarzyszyła, osiedli na wsi, w majątku, który przypadł w dziale na panią kasztelanową, — tam poznał i upodobał sobie naszą Salusię pan Wojciech Kłobukowski, podstarości w głównym folwarku, człowiek nie pierwszéj młodości, gdyż mu już czwarty minął krzyżyk, i włos przyprószała siwizna,— ale zamożny i znany z poczciwości gospodarz, który jakkolwiek z urodzenia szlachcic, nie wahał się rzucić zastarzałego przesądu, i pojąć w małżeństwo córkę włościańską, ale cnotliwą, pracowitą i bogobojną dziewczynę.

W nowym tym zawodzie odznaczały Salusię pracowitość i statek, do których od małego przywykła; — była wierną towarzyszką męża, którego kochała i szanowała, osładzając mu rozmaite przykrości, od życia ludzkiego nieodłączne— bo dobra i przywiązana służąca, bywa zwykle zacną i wierną żoną. — I Stwórca błogosławił poczciwéj pracy, darząc ich i dobrem mieniem, i pociechami serca.— Związek ten wzmocniony został czworgiem dziatek, które wychowywali w miłości i bojaźni Boga, — ale że nie ma trwałego szczęścia na téj ziemi,— po 12 więc latach najchwalebniejszego pożycia, nasza Salusia, własną ręką zamknęła oczy zacnemu temu człowiekowi, pozostawszy osieroconą na nowo z czworgiem niedorosłych dzieci.

W smutnem swém położeniu, znalazła znowu pomoc i wsparcie u swych państwa, którzy wynagradzając poczciwe służby ich obojga, zajęli się losem i wychowaniem pozostałych dzieci, i oddali chłopca do szkół publicznych, a córkę do klasztoru panien Sakramentek na naukę.— Obok tego pan kasztelan przyjął na procent niewielki kapitalik, jaki się zebrał ze sprzedaży fortunki i spieniężenia ruchomości nieboszczyka, który to fundusz posłużył następnie na wyposażenie dzieci, gdy doszły do lat. — Pani kasztelanowa zaś wzięła napowrót do siebie poczciwą Salusię, i jéj jako zdolnéj i doświadczonéj w wierności gospodyni, zarząd całego domu poruczyła.

Odtąd też Salusia zpod dachu tego nie wy-

szła;— przeżywszy oboje państwa pozostała w tych samych obowiązkach u ich córki, dzisiejszéj właścicielki majątku, która powodowana życzeniem i radami matki, zatrzymała ją przy sobie, i codziennie dziękuje Bogu, że ją tak zacną, nie już sługą ale przyjaciółką obdarzył; — boć rzeczywiście Salusia przez swą długoletnią służbę, na przyjaźń tę sobie zasłużyła, i stała się niejako członkiem rodziny swych państwa.— Cała też myśl jéj zaprzątnięta jest jedynie ich dobrem, którego od własnego oddzielić nie umie — zwłaszcza, że nie potrzebuje troszczyć się o los swych dzieci,— z których, — syn, po chlubném ukończeniu szkół, oddany w termin, wyszedł na porządnego majstra, zatrudniającego dziś kilkudziesiąt czeladzi;— córka zaś będąc przez jakiś czas w obowiązku za garderobianę w jednym zamożnym domu w Warszawie, poszła za mąż, za uczciwego choć ubogiego stolarza, któremu zawdzięczając serdeczne przywiązanie, rękę swą oddała.

Pan Bóg związek ten hojnie pobłogosławił dwoma synami i 6ciu córkami. — Rodzice jakkolwiek obarczeni tak liczną rodziną, nie upadli na duchu;— znając z doświadczenia jaki skarb mieści się w pracy, wzięli się do niéj z podwojoną gorliwością.— Synów umieścił ojciec w Warszawie, gdzie ich pod okiem swojem sposobi na uczciwych, jak sam rzemieślników. Córki po udzieleniu im przez matkę początkowych nauk, pragną rodzice w miarę dorastania oddawać w służbę do porządnych domów, wpajając w nie od maleńkiego, że żadna poczciwa praca, hańby ani wstydu nikomu nie przynosi.

Zamiar ten udzielili staruszce, który ona nie tylko pochwaliła, ale stawiając siebie za przykład, zapewniała,— że uczciwa i zdatna służąca zjednać sobie może i względy państwa, i znaleść porządnego człowieka, który ją pojmie za żonę, prędzéj, niż inną wątpliwéj reputacyi dziewczynę, chociażby pozornie lepsze zajmowała stanowisko:—„Wszakże, kochana moja Joasiu,“ — rzekła staruszka do córki—„skoro się decydujecie na to, aby wasze dziewczyny były służącemi, co i ja z przekonania pochwalam, (boć to przeznaczeniem każdego uczciwie na chleb zarabiać) — to potrzeba, aby one wcześnie do przyszłego swego stanu były przyuczane, przez co i oswoją się z tą myślą, w ogóle nie zbyt ponętną, i unikną przykrości, na jakie bywa narażaną zupełnie nieobeznana z niemi dziewczyna.— Znam to dobrze, że tobie samej przy zajęciach domowych— przy tylu dzieciach i czeladzi niepodobna byłoby wydołać i temu jeszcze zadaniu, zwłaszcza żeś i sama nie bardzo z niem obeznana nie tak, jak ja, co przechodziłam wszystkie służby szczeble, i napatrzyłam się jéj w mieście i na wsi — w kraju i zagranicą— dlatego radabym przyjść ci w tym razie w pomoc, przez zajęcie się wykładem tych obowiązków dla swoich wnuczek — a że niedaleko mieszkam, a przytem lato, przechadzka wam nie zaszkodzi, a nawet zdrowiu pomoże. Przychodźcie więc do mnie co niedziela ze starszemi dziewczynami, to ja się nauką ich zajmę, naprzód przekonana, że mi pani nie wzbroni kilku godzin w niedzielę na cel ten poświęcić.

Ciotka moja nietylko że się do żądania staruszki przychyliła, ale prosiła ją nadto, o przypuszczenie 3ch dworskich dziewcząt do wykładu obowiązków dla służących niewiast.— To dało początek niedzielom u zacnéj babuni, w których staruszka udzielała stosowne rady i nauki, i miała tę pociechę, że praca jéj błogie z czasem przyniosła owoce, i wykształciła jéj uczennice na zdatne i poczciwe służące.

Kamienie spadające.

Pokażę wam osobliwość.— Zgadnijcie, co to jest ta massa czarna, ciężka, połyskująca, jakby wernixem pociągnięta, a przytém tak twarda, że daje ognia o krzesiwo?

— Zapewne jakiś stopiony metal; ma pozór, i odłam lanéj massy, krawędzie okrągłe, —może to żużel z pieca, gdzie żelazo wytapiają.

— Choć podobny do metalu stopionego, ale on nie przez ludzi został wyrobiony, to utwór natury.— Kamień z nieba spadły.

— A czy kto widział, jak on spadał?

— Choćby i nikt nie widział, to jednak pewno, że z nieba pochodzi, bo o tem przekonywa jego szczególny skład, którego nie natrafiamy w żadnem z ciał, ani na ziemi, ani we wnątrz ziemi spotykanych.

— Cóż w nich jest takiego szczególnego?

— W skład takich kamieni, wchodzi 18 ciał różnych; najwięcéj jest żelaza i to czystego, metalicznego, a przytém trochę krzemionki, siarki, węgla, niklu, kobaltu, manganezu, cyny, miedzi i t. d.

— Gdyby to często spadały takie kamienie i w większych massach, to możnaby je używać do otrzymywania żelaza.

— Dotąd wiele opisano spadłych kamieni, bo za granicą podobne zjawiska natychmiast ogłaszają ze wszystkiemi towarzyszącemi szczegółami, np. czy spadał z hukiem, szumem, czy był rozpalony, jak wiele w ziemię się zagłębił, ile ważył? i t. d. — Okoliczności towarzyszących spadnięciu tego kamienia około miasta Iłży nie znamy, wiadomo tylko, że znaleziona massa razem wynosiła kilkanaście funtów. Lecz to nic dziwnego, — spadają bowiem bryły daleko większe. — W Syberyi niedawno spadła bryła żelaza, ważąca około 1500 fun., którą Tatarzy uważali za przedmiot święty, jako z nieba spadły. — Pewien uczony podróżnik uwiadomiony o tem, pojechał do miejsca wskazanego, i przekonawszy się o pochodzeniu téj massy, sprowadził ją do Petersburga, stolicy Rossyi, aby ją więcéj ludzi widzieć, a światlejsi dokładnie zbadać mogli. — Podobno i nasz kamień w Iłży spadły, oddanym będzie w tym celu do zbioru publicznego zwierząt wypchanych, i innych osobliwości, czyli tak zwanego Gabinetu Historyi Naturalnéj w Warszawie. — Chociaż nie tak wielkie, ale zawsze znaczne kamienie spadły w Węgrzech, Czechach, Włoszech, Niemczech i Francyi.

— Takie massy żelaza spadając, i zabićby mogły, a nawet zdaje mi się, że uszkodzić budowle?

— Bywały wypadki zabicia. — Jest temu lat dwieście, podobny kamień z powietrza spadły, czyli jak go zwykle zowią, aerolit, zabił we Włoszech księdza Franciszkana, a w kilkanaście lat potem podobny aerolit upadłszy na okręt Szwedzki, zabił na nim dwóch majtków. — Rozumie się, że taki ciężar lecąc z tak straszną prędkością, nietylko może uszkodzić budynek, ale nawet rozbijać kamienie, co jednak ważniejsza, że aerolity mogą wzniecić pożar w budowli.

— A to znów z jakiego powodu?

— Bo aerolity są zwykle rozpalone, i nim spadną na powierzchnię ziemi, to do tego stopnia są rozżarzone, ze w swym biegu świecą jak wielkie kule ogniste, które często z mocnym hukiem pękają, i na kawałki się rozpryskują, tworząc jakby deszcz kamienisty.

— O! jak wielkie są narzędzia prawicy Boskiéj. — Ale czy też ludzie, co to badają dziwy natury, nie doszli jeszcze, skąd pochodzą te massy żelaza, czasami na ziemię spadające.?

— Dotąd z pewnością nie zdołano wykryć, jakim sposobem tworzą się te massy metaliczne. — Jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdaje się, ze aerolity nie należą do naszéj ziemi, nie powstają z powietrza otaczającego ziemię, lecz pochodzą z mnóstwa małych ciał krążących po niebieskich przestrzeniach podobnie, jak ziemia, naokoło słońca. Jeżeli ziemia w swym biegu natrafi na nie, to bliższe ściąga ku sobie, i wtedy te ciałka pędząc z ogromną chyżością, prują gwałtownie powietrze, ściskają je przed sobą, skąd powstaje mocne ciepło, od którego się rozpalają do tego stopnia, że aż świecą, i niekiedy pękają i spadają na ziemię.

— A to może i tak zwane gwiazdy spadające są podobnemi ciałami?

— Zdaje się, że te smugi światła w różnych kierunkach pojawiające się na sklepieniu nieba, są także małemi ciałami krążącemi między ziemią i słońcem, a które będąc słabo oświetlone, stają się widzialnemi wtedy dopiero gdy się znajdują blisko ziemi. — Zresztą takie gwiazdy spadające nie w każdéj porze roku pojawiają się w jednakowej obfitości, najliczniéj okazują się na niebie w drugiéj połowie Lipca i w Październiku. — Być może, że w tych epokach, ziemia podczas swego biegu, natrafia na największą ich liczbę.

— Jednakże wyznać należy, że ludzie, którzy uważają ciągle to zjawisko, badają kierunek tych smug świetnych, ich liczbę i t. p. nie są jeszcze w stanie dać zadowalniającego tłumaczenia co do ich początku.

ZBYTEK I BIEDA.

Na Biedę krzyknął Zbytek: Precz ztąd! twa osoba
Wychudła, źle odziana, mnie się nie podoba.
„Udajesz, — rzekła Bieda, wiem to dostatecznie,
Bo wszakże ty sam Biedą zostać chcesz koniecznie.“

W druk. J. Unger. Wolno drukować. Warszawa d. 27 Czerw. (9 Lip.) 1856 r. — P. o. starsz. cenz., rad. hon. *A. Broniewski*.